# PRAWDA

*Pismo tygodniowe.* *Nie przyszedłem dawać pokoju, ale miecz. MAT. X, 34.*

Rok XXXV Nr. 6 — *Warszawa, 16 lutego 1915.* — Nowy-Świat 15.



ST. PIEKARSKI.

## Nieco historji i wspomnień.

Skarga, rzucając straszliwe słowa: „Cudzoziemcami będziecie w kraju waszym", nie zszedł jeszcze na samo dno piekła dantejskiego i nie wiedział jakie groźne znaczenie mają jego słowa. A słowa te tłumaczyć można obecnie nie w ich zwykłym znaczeniu, ale w daleko bardziej rozpaczliwym i beznadziejnym. Najgorszy ucisk zewnętrzny jest niczym, jeżeli świadomość narodu pozostaje zdrowa. Być cudzoziemcem we własnym kraju nic to jeszcze w porównaniu z poczuciem, że jest się cudzoziemcem wśród własnych współrodaków. Ten stan duszy miał zapewne na myśli pisarz irlandzki F. Moore, pisząc: „Irlandczyk wogóle nie powinien mieszkać w Irlandji, ale jeżeli jest patrjotą irlandzkim, to pobyt jego w kraju staje się niemożliwy".

N. Demokracja obecnie wytacza nową wojnę, na szczęście tym razem bezkrwawą, wojnę naszej przeszłości. Coraz to dowiadujemy się czegoś nowego w tej dziedzinie — to okazuje się, że wszystkie nasze rewolucje były dziełem żydów czy masonów, to znów jeden z uczonych oświadcza uroczyście, że ma dowody, jakoby Rewolucja 1830 r. była — prostą prowokacją.

Nam się zdaje, że N. D. właściwie wstąpiła na trafną drogę. Daleko wstrętniejszą rzeczą z jej strony było osłanianie się płaszczem katońskiej cnoty i patrjotyzmu, połączone z cynicznem targaniem się na polskość w życiu codziennym. Zajmując stanowisko opozycyjne wobec wszystkiego, co w przeszłości naszej wynikało z głębin narodu, jest ona świadomą kontynuatorką tych żywiołów, które zawsze i wszędzie przeciwstawiały się wogóle wszystkiemu i marzyły tylko o utrzymaniu status quo.

Jeżeli patrzymy na odległe epoki, jak np. na epopeję napoleońską, to nie zdajemy sobie bynajmniej sprawy z tego, że widzimy prawie zawsze tylko jedną stronę medalu — ofiarność, bohaterstwo, poświęcenie. Nie widzimy tej drugiej strony, jaką była szlachecka obojętność na losy narodu, sobkostwo, jednym słowem to wszystko, co uczyniło z nas „zbiorowisko ludzi prywatnych", według udatnego określenia *Tygodnika Polskiego*.

Weźmy np. jak przyjęło społeczeństwo polskie w Poznańskim to epokowe zdarzenie, jakim było rozgromienie potęgi pruskiej przez Napoleona i wyzwolenie z niewoli pruskiej późniejszego Księstwa Warszawskiego. Oto co czytamy w pamiętnikach Antoniego Białkowskiego, oficera wojsk polskich: „Po bitwie pod Jeną armja francuska zajęła Berlin, a jej awangardy zbliżyły się do Poznania. W Poznaniu nie zdawano sobie sprawy z ważności bitwy pod Jeną: wiadomości, podawane przez gazety, zapewniały nas, że Francuzi pobici, że armja pruska cofnęła się w celu zajęcia lepszej pozycji, by następnie oskrzydlić Francuzów. Wiadomości o tych powodzeniach Prusaków zachęciły mnie do wejścia w służbę pruską."

Dalej autor opisuje komiczną scenę rozmowy z pułkownikiem pruskim, który zdziwiony był bardzo, znając dokładny stan rzeczy, że ktoś ma ochotę wstępować do wojska, o czym, oczywiście, Białkowskiemu nie powiedział.

Nawet wejście wojsk francuskich do Poznania nie wywołało wcale entuzjazmu. Przeciwnie, poczciwe mieszczuchy poznańskie nie chciały wierzyć, aby tak niepozornie wyglądające wojska mogły rozbić Prusaków. „Czyż można wierzyć, aby te karły mogły pobić *naszych* olbrzymów?" Panowało ogólne przekonanie, że wpuszczenie Francuzów do Poznania było rodzajem pułapki na szczury—chciano ich otoczyć.

„Burmistrze miast zajętych przez Francuzów, chcąc dać dowód wierności swemu (!) mo-

narsze, zbierali rekruta i sekretnie posyłali go do swej armji." Jak widzimy, dziesięć lat rządów pruskich wystarczyło do zaszczepienia patrjotyzmu pruskiego. Dopiero rozstrzelanie owych burmistrzów zachwiało trochę wyrobionem przekonaniem poznańczyków. Ale największe wrażenie wywarło wkroczenie kirasjerów. Tu dopiero zakrwawiły się wierne poznańskie serca!

„Patrzący na to sąsiad mego ojca, niejaki Ulanowski, obywatel, tak do mego ojca przemówił: „Sancta Marja! Panie Józefie, czy Waćpan widzisz to wojsko, wszakże oni w żelaznych sukniach; ja dotąd powątpiewałem o klęsce *naszego* wojska, ale patrzno Waćpan, kto jest w stanie oprzeć się temu okropnemu wojsku. Zginęliśmy! Zginęliśmy! Zginął *nasz* kochany król, zginęło *nasze* piękne wojsko."

Podkreślaliśmy rozmyślnie słowo „nasze". Oczom się nie chce wierzyć, aby w 10 lat zaledwie po upadku kraju ci sami ludzie, którzy pamiętali przecież jeszcze własne rządy, mogli tak identyfikować się z Prusakami. A jednak... jeden publicysta angielski pisze, że Anglja powinnaby wystawić pomniki dwóm ludziom, którzy najbardziej przyczynili się do moralnego zjednoczenia Anglji z kolonjami. Ludźmi tymi są, jego zdaniem, Krüger i Wilhelm II. Oni to wzmocnili te węzły, które słabły nie wskutek świadomych dążeń odśrodkowych, ale wskutek absorbującej siły interesów lokalnych, która pociągała za sobą pewne zobojętnienie w stosunkach. Kto wie, czy my nie powinniśmy postawić pomnika Bismarckowi, który rozbudził poczucie narodowe w Poznańskim, pomimo tak obiecujących, jak widzieliśmy, początków panowania pruskiego i zlewania się duchowego z zaborcą.

---

*Z dokumentów epoki.*

*Sesja Izby Państwowej, d. 9 lutego. Wiktor Jaroński, w imieniu Koła Polskiego, oświadcza:*

*„Teraz czas jest myśleć tylko o tym, jak wytężyć wszystkie siły, by złamać groźną dla całej Słowiańszczyzny potęgę Niemiec. Odezwa Wodza Naczelnego wskazała nam, że wojna urzeczywistni świetlane hasło naszych ojców i dziadów — połączenie w jedną całość wolnego narodu polskiego pod berłem Monarchy Rosyjskiego. Ta odezwa skupiła nas dokoła naszego hasła. Wiemy, że rozwiązanie w całej objętości sprawy stosunku Polski do Rosji jest możliwe dopiero po skończeniu wojny, mamy jednak prawo spodziewać się, iż rząd w stosunku do Polaków będzie istotnie kierował się duchem odezwy Wodza Naczelnego."*

W. MAKOWSKI.

# Rozmyślania o narodowości.

III.

Nowoczesna idea narodowa — twierdzi Kautsky — jest w gruncie rzeczy ideą burżuazyjną. A jakkolwiek tenże autor, w tej samej pracy, o parę stronic dalej, ideę w gruncie rzeczy burżuazyjną przekazuje do udoskonalenia ludowi, twierdząc, że: „klasa najemnicza staje się coraz bardziej jądrem narodu" i w pochodzie do zniesienia różnic klasowych, które jedynie osłabiały wspólność interesów pomiędzy członkami danego narodu, dąży zatem do wytworzenia idealnej solidarności, solidarności „wewnątrz kraju, której przykłady można chyba znaleźć w pierwotnych gminach"; jakkolwiek zatym wyraźny zwolennik kosmopolityzmu przypisuje klasie, tworzącej przyszłość, żywy i wybitny udział w tworzeniu i doskonaleniu zasad i życia narodowego, — to jednak w istocie pochodzenie idei narodowych związane jest z rozwojem i panowaniem klasy średniej.

Nie będziemy już przypominali braku ideałów narodowych w nowożytnym sformułowaniu za czasów feudalizmu, ale godzi się pamiętać, że poraz pierwszy mniej więcej wyraźnie zostały proklamowane prawa narodowości wraz z prawami człowieka przez zwycięski stan trzeci czasu wielkiej rewolucji francuskiej. . . .

. . . . . . . . . . .

Emancypacja stanu trzeciego z Francji rozszerzająca się na całą Europę niesie wraz z sobą falę nowych ideałów narodowościowych. — Ideały te stoją krwawo w szeregu tych, jakie zaczął realizować, a w końcu zdradził Napoleon. Uświadomiona, proklamowana, jako święte hasło, idea narodowościowa miała taką potęgę w sobie, że potrafiła przez szereg lat rozpalać Europę do walki, dopóki w końcu,—jak się to dzieje zwykle, — zmęczona tą ideową pracą ludzkość nie stanęła w pół drogi, a wtedy przepotężny pan—kompromis—wypaczył proklamowane hasła.

Jednakże w świadomości pozostały one i musiały się krzewić i trwać.

. . . . . . . . . . .

. . One to oddziaływały w pewnej przynajmniej mierze na koncepcje Aleksandra I, kiedy stwarzał Królestwo Kongresowe i zapowiadał połączenie z tym królestwem szerszych połaci kraju.

Ale oto wojujący stan trzeci umocnił się u władzy. Nie odrazu stało się to, — stopniowo; — stopniowo też przeistaczały się, nabierały

innego realnego znaczenia sztandarowe hasła wogóle, narodowościowe w szczególności.

To, co się nazywało ludem w końcu XVIII wieku, podzieliło się wyraźnie na dwie klasy społeczne w ciągłym ze sobą antagonizmie. Mniej lub więcej romantyczne hasła: wolności, równości, braterstwa i inne tym podobne przestały już grać rolę wskazań politycznych, miejsce ich w życiu politycznym zajął interes. Narodziła się nowa ideologja „interesu“ politycznego, „faktu dokonanego“, obrony „status quo“ przeciwko nowym wstrząśnieniom, któreby zagrażać mogły nie tyle powrotem do stanu dawnego, ile odebraniem roli przodownej warstwom posiadającym, które potrafiły już ukonstytuować nowe rządy i połączyć je ze sobą zasadami głęboko sięgającej solidarności.

A jeżeli pchnięta silną ręką Wielkiej Rewolucji Francuskiej zasada narodowościowa kierowała czynami niektórych, innym przyświecała jak gwiazda, dla innych była magnesem zbierającym ich niby opiłki metalowe wokrąg siebie, — to jeszcze innym służyla za mniej lub więcej wygodną tarczę pokrywającą właściwy „interes“ czynu.

I tak trwa do dzisiaj. Sceptycy, którzy nie wierzą w istotne zmiany postępu ludzkiego, gotowi są twierdzić nawet, że nic się nie zmieniło, że w gruncie te same grupy społeczne, które dzierżyły władzę dawniej i korzystały z przywilejów społecznych, tak samo dziś zajmują swoje stanowisko społeczne i polityczne i kierują życiem według swoich zamierzeń, czyniąc może pewne tylko niewielkie ustępstwa na rzecz wymagań chwili.

D'Auriac w książce „La Nationalite Francaise“, stara się udowodnić, że w gruncie już przed rewolucją faktyczne rządy we Francji spoczywały w rękach burżuazji, że pomimo wszelkich wstrząśnień i przewrotów, stan analogiczny panuje obecnie. „Ostatnia rewolucja — pisze on — ta z r. 1870, wprowadziła naród z powrotem na drogi, po których szedł on od roku 1789, a raczej, z których nie schodził od czasów przedrewolucyjnych; burżuazja zaczęła znów rządzić krajem, — i burżuazja nowożytna panuje sama, z wyłączeniem arystokracji — podejrzanej, i ludu — utrzymywanego w niemocy“.

Jeżeli to jest prawda, na czym tedy mogły polegać zmiany i przeobrażenia, ogólnie za doniosłe uważane, zarówno w formach rządu, jak i klasyfikacji społecznej, zmiany, których dokonanie kosztowało tyle krwi i wysiłku? Na czym polega ta nowa ideologja porewolucyjna, ta wreszcie zasada narodowości, której genezę związaliśmy ze zwycięstwem trzeciego stanu?

Po pierwsze, nie należy rozumieć tej niezmienności literalnie. Pomiędzy burżuazją nowoczesną, a tą, z której wyszła Joanna D'Arc, a nawet tą, która dokonywała rewolucji 1789 roku, albo rządziła w czasach króla-mieszczanina, — nie można nie widzieć różnic głębokich; uwzględniwszy tedy te różnice otrzymamy tylko zasadę, że rządy kraju, że produkcja polityczna, — jeśli się tak wyrazić można, — to znaczy z pewnego materjału surowego, jakim jest kraj i człowiek, stwarzanie, fabrykowanie pewnej skombinowanej całości, dającej możność osiągania zysku, — że czynność ta musi mieć swoich specjalistów, a ponieważ jest to czynność obliczona nie na jedno życie ludzkie, specjalizacja w niej wymaga pokoleń. A klasą społeczną, wytwarzającą w sobie kontyngens ludzi tej specjalności poświęconych, może być tylko burżuazja;— nie arystokracja, której poza nią samą nic w gruncie nie obchodzi i dlatego zdolności organizacyjnych mieć ona nie może,—nie lud, któremu troska o chleb wiąże ręce, — lecz właśnie burżuazja, która posiada materjalne i intelektualne zasoby najbardziej do danych funkcji odpowiednie.

To też piętno tej burżuazji leżeć będzie na wszystkim, cokolwiek zobaczymy w polityce. I jeżeli czasami stwarzanie, albo rozwijanie, albo wreszcie umocowywanie zasad dokonywa się cudzymi rękami, — narzędziem takim bywa lud, — to w końcu ustalenie, nadawanie ostatecznej trwałej formy tym zasadom, eksploatacja ich, — należeć będzie do burżuazji.

Tak się niektóre piękne idee wypaczają. Tak się stało i z narodowością.

Jeśli Napoleon nie krępował się hasłami praw zwierzchnictwa ludowego i nietykalności narodowych, uchwalonymi przez Konstytuantę lub Konwent, to w tym niema jeszcze potwierdzenia wymienionej tezy. Napoleon był jedną z tych wielkich indywidualności, które się wyłamują, mimo wszystko, z uogólnień statystycznych i odpowiadają same za siebie. Ale już rząd Ludwika-Filipa, już ministerjum Guizot'a, to całkowity wyraz rządów burżuazyjnych — Francja składała się wówczas z „pays-legal“, z 240.000 wyborców, którzy stanowili „towarzystwo akcyjne dla eksploatacji bogactwa narodowego Francji“ — jak trafnie określono.

Poza nimi dopiero stał lud wielomiljonowy, którego głos starano się stłumić byle czym, albo i wcale o nim nie pamiętano.

Czasami rozlegało się jednak wołanie, czy to z zastępów tego ludu idące, czy to drogą nieznanych praw psychicznego przenikania, zarazy psychicznej, dobyły ze strun uczuciowych kogokolwiek z tych akcjonarjuszów „pays-légal“.

Oto w roku 1846 doszły do Paryża przesadzone wieści o powstaniu polskim w Galicji.

. . . . . . . . . . .

Głos taki szedł, zrywał się, huczał, znajdywał oddźwięk w łonie izby deputowanych, powstawał tam komitet, do którego wchodzili i reakcjoniści zaciekli: Remilly, Castellane, Fould, legitymiści: Laicy, Benoist, Panat, radykaliści: Garnier-Pages i Ledru Rollin, a obok Arago, Lamartine, Lafayette i inni i inni, ażeby zbierać pieniądze dla walczącej Polski.

A rozsądne ministerjum Guizota kiwało głową, mówiąc: „ile tutaj dajecie podpisów, o tyle głów mniej będzie w Polsce".

Tymczasem sprawdziły się uspakajające słowa w d. 30 stycznia 1846 roku przez arcyksięcia Ferdynanda d'Este do Wiednia pisane, że „rząd może być spokojny, wszystkie środki są przedsięwzięte, aby sparaliżować ruch powstańczy bez użycia wojska". A kiedy się dowiedziała Francja o tych środkach, o Szeli i rzeziach, kiedy Guizotowi złożono interpelację w sprawie galicyjskich mordów, minister odpowiadał: „Fakty te dotyczą spraw, czynów, postępowania obcego rządu. Izba zrozumie, że nie będę ich bronił... Powinniśmy być i jesteśmy zawsze gotowi bronić naszych spraw i naszych działań w stosunkach z obcemi rządami, ale wewnętrzne sprawy tych rządów nas nie dotyczą. Nie umiałbym, nie mógłbym, nie powinienem o nie się upominać..."

Nie wystarczało to może nastrojom ludowym, ale, na razie przynajmniej, nastroje te nie przeszkadzały rządowi Guizota korespondować z rządem Metternicha w sposób, który wyraźnie wskazywał, że więcej jest czynników, łączących te dwa rządy pomiędzy sobą, niż z ich ludami i ludów tych ideologją.

We Francji lud był jeszcze może rozkołysany przez niedawne stosunkowo czasy burz, czy też inne po temu składały się czynniki, dość, że w pewnej chwili przestał znosić Guizotowskie rządy i wypędził wymownego ministra wraz z jego panem.

Znowu tedy nadeszła krótka chwila panowania zapału ludowego, wielkich haseł, śród których hasła praw narodowych brzmiały donośnie. Uchwalona 24 maja 1848 roku przez konstytuantę wskazówka dla rządu rzeczypospolitej lutowej głosiła między innemi: „Réconstitution de la Pologne libre et independente. Affranchissement de l'Italie". Zaś konstytucja 1848 r. stanowiła w sprawie stosunku Francji do innych narodów zasadę pokrewną znanej nam już z czasów Wielkiej Rewolucji. Art. 5 tej konstytucji głosił: „Republika francuska nie używa swoich sił bojowych przeciw wolności innego narodu".

Po tym wybuchu lud umilkł, do rządzenia przyszli ludzie o nowych, a przynajmniej względnie nowych nazwiskach, ale zwolna stare tradycje obalonego rządu poczęły wracać i wszystko było, jak dawniej. Już w roku 1849 gienerał Oudinot na czele wojsk Republiki francuskiej bombardował Rzym, torując drogę dla wracającego na doczesny tron papieża, „przeciw wolności innngo narodu" i przeciw konstytucji. Czyż trzeba mówić jeszcze o Polsce?...

Nie dla tego przytoczyłem te parę epizodów z historji Francji, żeby jakieś żale rozwodzić, bynajmniej, — uważam wraz z Plautem, że: „Sapiens... ipse fingit fortunam sibi", że tedy mądrością jest wiele od siebie wymagać, a nic od innych. Przytoczyłem je, jako ilustrację pewnego stosunku wewnętrznego w narodzie, stosunku, który w życiu politycznym, tam nawet, gdzieśmy zapomnieli doszczętnie o jakichkolwiek specyficznie klasowych antagonizmach i zatargach, a przeszli do t. z. zasad ogólno-narodowych, czy ogólno-ludzkich, wykazywał nieuniknioną rozbieżność wewnętrzną.

W narodzie muszą być dwa stronnictwa,— a czy to o prawa człowieka, o warunki życia społecznego, czy o zasady życia narodowego będzie chodziło, rozdźwięk między nimi zawsze się ujawni.

---

*W pismach codziennych spotyka się wciąż wzmianki o tem, co robią Komitety Obywatelskie: piotrkowski, kaliski, gostyński, sochaczewski, łowicki.*

*Oto urzędują one — w Warszawie, niewiele nawet wiedząc o tem, co się dzieje na tym terenie, którego imię noszą. Prawda, że pewna, często znaczna część ludności danych okolic zbiegła i chwilowo jest lub była w Warszawie. Komitety prowincjonalne, nazwane wedle powiatów, dają tej ludności pewną dobroczynną pomoc. W takim razie Komitety owe to tylko oddziały ogólnej akcji dobroczynnej, opieki nad zbiegami, bezdomymi, ale nie ośrodki obywatelskiej samopomocy—bo przecież jako takie istniećby musiały właśnie na terenie, będącym w najtrudniejszym położeniu. Ich obowiązkiem „obywatelskim" jest trwać na miejscu, pomimo trudności, przetrwać wszelkie zmiany, być regulatorem bieżącego, zmiennego często życia swej okolicy. Zmykając razem z płochliwą albo nawet ewakuowaną cząstką ludności swego powiatu na bezpieczny grunt Warszawy — Komitety zrzekają się zupełnie swej właściwej roli, a stają się tylko oddziałami jednego ogólnego biura dobroczynności. A ludność pozostała na miejscu, lub ta, która z linii boju schroniła się do miejscowości dalszych, mniej narażonych, tej samej okolicy, radzi sobie jak może, bez owego ośrodka, który miał trzymać ster.*

*(„Zaranie").*

IGN. CHRZANOWSKI.

# Dwie książki — o filozofii religii.

Dokończenie.

Świadomość tych wszystkich i innych jeszcze stron ujemnych dzisiejszego Kościoła katolickiego z jednej strony, a z drugiej głębokie przywiązanie ku niemu i poczucie swej niczem niezachwianej przynależności do niego, tłumaczą nam dostatecznie dlaczego prof. Żdziechowski z takiem upodobaniem, z takim nawet zapałem, nakreślił obraz działalności i nauki kardynała Newmana, Ollé-Lapruna, Blondela, Laberthonniera i Tyrrella, jako tych, co w myśl katolicką XIX wieku wnosili nowe życie. Przecie Newman, obok wielu innych swych zasług, położył tę, może największą, że protestował przeciwko bezwzględnemu autorytaryzmowi, w myśl swej przepięknej zasady, że «sumienie jest wiekuistym wikaryuszem Chrystusa, prorokiem, który nam prawdę objawia, królem, który nam rozkazy wydaje, kapłanem, który albo klątwę na nas rzuca, albo nas błogosławi» (II, 406); «filozofia Olle-Lapruna z jednej strony wprowadzała myśl katolicką w nowe dziedziny i zbliżała ją z duchem wieku, przenosząc punkt ciężkości ze strony racyonalnej do moralnej strony religii, z drugiej zaś wywoływała w Kościele zwrot ku tolerancyi, budziła w nim ducha miłości, wzywała do pracy misyjnej wśród niewierzącego ogółu, pracy, natchnionej miłością i umiejącej ziarna prawdy wynajdywać pod powłoką przeciwnych Kościołowi dążeń» (II, 218); Blondel wyznawał i krzewił pogląd, że «wiarę nie zzewnątrz wnosić należy w duszę, lecz, przeciwnie, najgłębsze wnętrze duszy brać trzeba za punkt wyjścia, aby potem przedmiot wiary zewnątrz siebie odszukać» (II, 242); Laberthonnière rozumiał, że «obrońcy Kościoła, przedstawiając prawdę albo historycznie, jako szereg faktów sprawdzonych, albo dyalektycznie, jako szereg twierdzeń, powiązanych z sobą żelaznym łańcuchem logiki, pozostawiają na uboczu to, co najważniejsze, t. j. stosunek prawdy do życia; w ten sposób przekształcają oni prawdę w system wykończony, określony, ale martwy» (II, 245—6); Tyrrell, którego cała twórczość «jednem wielkiem, modlitewnem, mistycznem uniesieniem promieniała» (II, 377), który «połączył w osobie swojej żarliwość apostoła z głębokością myśliciela», «umiał wlać pierwiastki... ducha nowego, w którym idee wolności i autorytetu szukały harmonijnej jedności z sobą, w taką formę, jakiej nie umieli mu nadać Towiański i jego następcy» (II, 369).

Z tego jednak, że nie umieli, nie wynika bynajmniej, aby nie położyli około pogłębienia i odnowienia ducha religijnego XIX wieku wielkich zasług. Stwierdza je otwarcie, wymownie i, jak zawsze, z głębokiem przekonaniem prof. Żdziechowski. On nie poczytuje Towiańskiego za znachora, jak ks. Gabryl; odmawia mu wprawdzie, i bardzo słusznie, nietylko umysłu filozoficznego, ale wogóle szerszej i głębszej kultury umysłowej, niemniej przeto nazywa go wręcz — człowiekiem opatrznościowym (II, 412), zwiastunem «drugiej, wyższej epoki chrześcijaństwa» (II, 368), — epoki, w której przywrócona będzie zachwiana równowaga pomiędzy autorytetem w sprawach religii a wolnością sumienia, w której przestaną uchodzić za cnotę bezmyślność i ślepe posłuszeństwo, będące «psu zasługą, człowiekowi grzechem».

Jeżeli dobrze zważyć tę właśnie zasługę Towiańskiego, jeżeli się zastanowić nad tem, że człowiek ten, przy całem swojem przywiązaniu do Kościoła, uczył jednak, że «człowiek każdy ma nie tylko prawo, i ale obowiązek zachowania wolności swojej, wolności spełniania woli Bożej czyli prawa Chrystusowego, które jest prawem Kościoła, założonego przez Jezusa Chrystusa», że «wolność człowieka niezależną jest od władz, skoro czyni on to, co mu rozkazał Bóg, który jest najwyższą władzą», że «tylko grzech własny człowieka, nie zaś obca czyjaś wola, może go z Kościoła wykluczyć», — to trzeba będzie przyznać słuszność poglądowi, który zresztą nie pierwszy prof. Żdziechowski wypowiedział[1]), że Towiański jest poprzednikiem, jeżeli nie twórcą, modernizmu. Bo «jeśli wejrzeć — jak mówi prof. Żdziechowski — wgłąb modernizmu, przekonamy się, że, pomimo różnic nie w samych tylko odcieniach, lecz nawet w rzeczach zasadniczych, wspólnym celem wszystkich jego strumieni nie jest wprowadzenie i utrwalenie w Kościele tej lub owej filozofii, tego lub owego poglądu na źródła i początek Pentateuchu, ale przywrócenie naruszonej równowagi między autorytetem a wolnością; ponieważ zaś autorytaryzm, wypływając z antropomorfizacyi Boga, jako monarchy, który papieżowi oddał władzę nad światem, jest owocem przewagi rozumowego pierwiastku w religii, więc nowoczesnym kierunkom w Kościele... chodzi nie o reformę Kościoła, nie o burzenie starych podstaw, a szukanie nowych, ale o rzecz nierównie skromniejszą, bo tylko o zmiany w układzie podstaw filozoficznych nauki kościelnej przez wysunięcie i wzmocnienie ich strony moralnej, niesłusznie dotąd lekceważonej, kosztem tych pierwiastków, które miały się złożyć do utworzenia mocnych posad rozumowych» (II, 410).

W roku 1907 Kościół, jak wiadomo, potępił modernizm w encyklice *Pascendi gregis*, uznając go za stek najniedorzeczniejszych bredni i najgor-

---

[1]) Ob. artykuł *Alcuni precursori del modernismo* w czasopiśmie rzymskiem *Civiltà Cattolica* z d. 20 kwietnia r. 1912 (cytowany w broszurze ks. P. Smolikowskiego: *Przesłanie modernizmu, Andrzej Towiański*, Częstochowa, 1912).

szych herezyi, a jego twórców i wyznawców za ludzi przewrotnych, opętanych grzeszną ciekawością i pychą. Nie wydać swego sądu o tej encyklice prof. Ździechowski nie mógł — choćby już przez to jedno, że się tak szczegółowo i z tak bardzo widoczną sympatyą zajął ekskomunikowanym przez Kościół Tyrrellem. Otóż przyznaje autor, że Pius X, wydając encyklikę, poszedł za głosem sumienia, które mu kazało ratować wiarę, istotnie zagrożoną przez tych zpośród modernistów, którzy, szukając teoretycznej podstawy dla oddania pierwszeństwa własnemu sumieniu nad autorytetem nieomylnego papieża, znaleźli ją wprawdzie w Bogu, mieszkającym w duszy ludzkiej, ale pozbawili Go zupełnie — na rzecz tej immanencyi — bytu trancendentalnego. «Powinnością przeto głowy Kościoła—mówi prof. Zdziechowski—było ostrzedz wiernych; ale — dodaje — zamiast ostrzeżenia, ogłoszono namiętne potępienie modernizmu». Encyklika — mówi dalej — «nie miała w sobie nic z tego ducha miłości, który pierwszą tegoż papieża encyklikę cechował; formą swoją przypominała raczej gwałtowną, w uniesieniu gniewu pisaną, rozprawę polemiczną; ze stanowiska: albo wszystko, albo nic, albo Chrystus, albo dyabeł, albo klerykalizm, albo ateizm,—rzucała ona gromy na wszystkie strony, wierząc w jakiś wyimaginowany spisek w Kościele i spychając w jedną kupę ludzi najsprzeczniejszych dążności, z jednej strony takich, co katolikami byli chyba tylko z imienia,... z drugiej — najoddańszych Kościołowi idealistów, którzy, jak Fogazzaro, mieli odwagę widzieć na nim skazy i marzyć o naprawie, dodając, że, aby dzieła tego dokonać, trzeba wprzódy być świętym — w końcu dla stłumienia owych, niby to spiskowych, prądów, encyklika zalecała cały system represyjny, na szpiegostwie i donosicielstwie oparty» (II, 338—9).

Nie wynika z tego bynajmniej, żeby prof. Ździechowski był sam modernistą, żeby podzielał wszystkie poglądy, podciągnięte pod jedną nazwę modernizmu, — byłoby to, mówiąc nawiasem, trochę za trudną sztuką, w to pojęcie bowiem wtłoczono poglądy, będące z sobą czasem w jaskrawej sprzeczności. Nie, prof. Ździechowski był, jest i będzie «najoddańszym Kościołowi idealistą», tylko że, nie podzielając ciasnego, niedorzecznego, szkodliwego, stanowiska: «albo wszystko, albo nic», zawsze wierny swej zasadzie naczelnej, że «każdy» powiew, z dobrej myśli poczęty, przeczyszczając atmosferę, przynosi swój owoc», wierzy święcie, że «i powiew, który zrodziły marzenia o naprawie Kościoła i o jego apostolstwie w świecie, nie przejdzie bez śladu» (I, XXVI); rozumie, że były, są i zawsze będą nauki, pisma, czyny, w których jest nie «*albo* Chrystus, *albo* dyabeł», ale *i* Chrystus, *i* dyabeł, w których obok nieprawdy jest prawda, obok plew—ziarna; dzięki zaś swemu nie tylko szerokiemu umysłowi, ale także subtelnemu zmysłowi moralnemu i głębokiemu uczuciu religijnemu, umie plewy od ziaren odróżniać.

Zresztą, czy autor książki *Pesymizm, romantyzm a podstawy chrześcijaństwa* jest modernistą, czy nie jest, niech sobie o tem wyrokują uczeni zwolennicy Indeksu ksiąg zakazanych i Św. inkwizycyi. Piszący te słowa nie ma najmniejszego prawa zabierać o tem głosu, ani też najmniejszej ochoty łamać sobie nad tem głowy; myślał jednak i myśli, że zabrać głos o książce tak pięknej i rozumnej, tak śmiałej i uczciwej, tak bardzo pożytecznej, bo budzącej w duszy miłość ideałów religijnych i wrażającej w nią przekonanie, że punktem ciężkości religii i zarazem jej błogosławieństwem dla życia jest jej strona moralno-uczuciowa,—że zabrać głos o takiej książce miał nie tylko prawo i ochotę, ale także obowiązek.

LEON CHOROMAŃSKI.

# Herakles.

Myśl o Heraklesie i jego pracach nawiedzała mnie uporczywie. Wyrzeźbiłem jego kształty i oblicze. Uląkłem się ostateczności, aby mu nadać tylko fatalną siłę fizyczną. Uczyniłem go geniuszem o głowie, płonącej złotym żarem włosów. Jego mocne czoło okryłem skórą tak cienką i białą, jak na najwytworniejszej skroni kobiecej. Pod tą skórą i kością, wyrzeźbioną w czarę szlachetną, falowała krew i pracowała pulsująca badawczość—dzień i noc, we śnie i na jawie. Uczyniłem go szczęśliwym, bo obdarzonym wielką przepastną głębiną źrenic, które chłoną świat, i czułą przenikliwością palców, które umieją dotykać i śnić o rzeczach—pod zasłoną nieprzenikliwą dla wzroku. Czuć ciało końcem palca, niby ostrzem wrzynającego się wgłąb sztyletu; czuć gwiazdę, kładącą się na źrenicy, niby usta gorące na ustach; czuć wodę w mroku, jako wielką chłodną kobietę, którą trzeba ścisnąć w ramionach, aby krzyknęła i zapaliła się życiem; czuć wiatr we włosach, jak przyjaciela; oglądać ogień na górze, jak brata—to umiał mój Herakles. Bywał on samotny w długich godzinach, gdyż śniły mu się owoce zbyt wysokie. Był mądry, więc i z darów życia nic nie odrzucał. W cieniu jego postaci wędrowiec uczuwał, że zakrzepły miód życia leje się w znużone serce.

***

Kiedy stanął na rozdrożu, niebo przysłoniło się czarnymi chmurami i błyskawice, jak tygrysy, zaczęły skakać i szaleć ogniście w zagniewanych

otchłaniach. Wiatr powiał. Z milczeniem na ustach zjawiła się w blasku złotym wielka Cnota, o kruczych włosach, puszczonych w dół, obfitych i milczących. Jej mądre czoło osłaniał djadem z kwiatów i świeżych liści. Jej spokojne osłonięte piersi miały u szczytów dwa małe słońca płonące, wypieszczone rękoma bogów. Stała w kręgu cichego światła, które napawało serce Heraklesa kojącą błogo ufnością.

Po drugiej stronie stanęła w blasku czerwonym Rozkosz. Jej włosy, kipiące uniesieniem, wiły się w zaplotach niecierpliwych. Dwie zielone żmije czołgały się naokół jej głowy, sycząc i otwierając paszczęki. Złoty łańcuch podtrzymywał suknię szafranową, rozpiętą na przodzie. Pierś jedna stała, ujęta w siatkę purpurową, a druga zasłonięta była piórem pawiem, którego oko patrzyło na Heraklesa ze szczytu, niby sine słońce z śnieżnego tronu. W źrenicach Rozkoszy topiły się, rozżarzały i gasły metale, drzemiące w wnętrznościach Ziemi. Nagie kolano patrzyło z tuniki rozciętej. Na nogach jej gorzały srebrne księżyce. Jej stopy stały w nieprzeniknionym kręgu ciemności, a księżyce zdawały się wychodzić z łona najgłębszej Nocy.

Obie te niewiasty — Cnota i Rozkosz — chciały, aby Herakles obrał drogę jednej z nich i zamierzały otworzyć usta i zabrać się do gadania. Uprzedził je Herakles.

— Jam człowiek — krzyknął. a głos jego brzmiał radością, która w ból się przechyla. — Biorę was obie.

Ramiona bohatera ujęły Cnotę i Rozkosz. Ścisnęły je i zbliżyły. Jasne, wypieszczone rękoma bogów słońca na piersiach Cnoty zajrzały w miedziane ślepia żmij, sprężonych w ognistych włosach Rozkoszy. Zasyczały żmije przeraźliwie.

Herakles zniżył głowę. Ucałował mądre usta Cnoty. Ucałował kipiące wargi Rozkoszy. Puścił obie. Odszedł, jak dziecko, niepomne zabawek, które porzuciło na drodze.

Rozwinęła się noc, olśniewająca jak melodja. Słodki zapach wilgotnych liści rozlewał się nad ścieżynami. Księżyc, jakby ciśnięty wzwyż, leciał w glorji cytrynowej. Obłoki kłębiły się, jak ogromne fale mleczne. Przychylny żar, jakby tchnienie wielkich ust i piersi, lał się z góry — od tych fal białych.

Ponury gmach z głazów wyłonił się przed Heraklesem. Spiżowe drzwi zawarte były i zarosłe. Rdzawa kłódka wisiała w półmroku.

Z przejmującą miłością spojrzał bohater na tę kłódkę, strzegącą w cierpliwem milczeniu rzeczy ukrytych może od wieków. Nad drzwiami gorzał napis:

*Zamek Szaleństwa.*

Lubieżna ciekawość zaiskrzyła się w piersi Heraklesa. Uczuł na ustach pocałunek, lśniący i wonny, jak wino. Ukręcił szyję kłódce, wiszącej w mroku.

Rozwarły się ciężkie drzwi. Ukazali się karzełkowie w szatach arlekinów z kolorowemi aureolami nad głową. Wyleciał, siedząc na trójzębie, brodaty mężczyzna z księgą i piórem za uchem. Chmara złych duchów o twardych skórzanych skrzydłach, uzbrojonych szponami, wionęła powietrzem, ściskając we włochatych ramionach piersiste nagie kobietki, łaskotane i chichoczące. Dwie anemiczne dziewice, skromne jak nabożeństwo, wysunęły się chwiejnie z ciemnej gardzieli gmachu. Jedna wyciągała ręce ku olbrzymiej jak chmura, kołyszącej się przed nią ćmie. Druga niosła w bladych dłoniach wazę przejrzystą, z której wychodziły smugi kilkakrotne, świecące kolorowo i przechylające się po łuku. Z wycieńczonym uśmiechem podała wazę Heraklesowi. Naczynie natychmiast zgasło i rozsypało się w proch. Postać niewieścia w grubej żałobie, z twarzą osłoniętą kwefem, postępowała z wielką złocistą gromnicą. Gromnica płakała gorejącymi łzami, które niby zgłoski tajemnicy padały w serce Heraklesa. Wyfruwały i wydreptywały z brzucha gmachu chmary potworków, pokrak i minjaturowych piękności, w których oczach lśniły raje i promieniały tęcze. Kadłuby ludzkie z głowami kogutów podskakiwały czupurnie i piały szyderczo koło uszu Heraklesa. Szły olbrzymy z pyskami behometów i spiczastymi uszyma rysiów. Ich wielkie kipiące zielono źrenice obracały się jak koła młyńskie w krwawych wilgotnych oczodołach. Groziły bohaterowi uwiędłe piąstewki niziołków. Odsłaniały się nieprzyzwoicie suche szydercze kupry. Mięsiste piersi skrzydlate strzykały nań wrzącym odwarem. Wreszcie, świszcząc i stękając, wyfrunęło z gmachu żarzące się dzikimi oczyma włochate koło i, wirując nad Heraklesem, krzyknęło:

— Spadnę ci na głowę!

Lecz duch Heraklesa nie struchlał w tę noc tajemniczą. Troska nie ugryzła jego serca.

* * *

Sędziwy las otoczył Heraklesa. I okrążyła go ćma nocy. Jezioro spało, połyskując siną falą. Bohater zwrócił się do duchów wodnych.

— Wy, wodniki, trytony i najady, żyjące w chłodnej przezroczy wód, powiedzcie, gdzie się ukryły Stymfalidy?

Duchy wód się ocknęły, podniosły się z dna piaszczystego, przetarły oczy i mruknąwszy:

— Stymfalidy nie uczyniły nam nic złego — zapadły znów w gąszcze swych snów zielonych.

Herakles zwrócił się do duchów leśnych i do zielonych dryad, żyjących w drzewach. Dryady się ocknęły, podniosły giętkie ramiona i słysząc gromki głos heroja i imię Stymfalid, rzuciły się w popłochu ku włochatym satyrom, a te zdusiły

im trwożne wargi pocałunkami. Herakles zwrócił się do zwierząt, pytając, gdzie się ukryły mordercze Stymfalidy. Lecz zwierzęta—jelenie rożyste, lekkonogie zające, lisy przebiegłe, rysie ostrowidze, ponure wilki i wszystko, co pełza w gąszczu, słysząc imię Stymfalid, zaszyło się struchłałe głębiej i las cały zadygotał przerażeniem. Herakles zwrócił się do sów i puhaczy, do nietoperzy i ciem, a te, słysząc imię Stymfalid, miękkimi kręgami odfrunęły cicho wgłąb nocy. Wtedy bohater zaczął wołać Noc, aby przyszła i wyznała, gdzie śpią Stymfalidy. Noc się zjawiła, spowita w ciemną szatę fałdzistą. W ręku niosła obwisłe maki. W oczach jej stał ciemny blask, jakby z za widnokręgu źrenic ukazać się miały gwiazdy. Miękkim głosem, podobnym do spadu i lania się wód dalekich, rzekła herosowi, że Stymfalidy są jej goście i że ich nie wyda. Daje schron i nędzarzowi i zbiegłemu, ochłostanemu rabowi i łani pięknookiej i krwiożerczemu puhaczowi i posępnemu zabójcy, który ucieka przed nożem pomsty. Herakles chwycił za łuk i zagroził Nocy strzałą śmiertelną. Noc otoczyła głowę jego nieprzeniknionym mrokiem i znikła. Bohater, porażony wstydem, rzucił się na ziemię i zajęczał, aż blada Jutrznia wyszła przed czasem spojrzeć na troskę syna Alkmeny. Wtem krzew się zapali blaskiem. Wyjrzą sowie oczy Pallas-Atene. Bogini pysznoramienna podaje herosowi kołatkę miedzianą. Herakles chwyta i darem potrząsa. Las drży od miedzi zgrzytów przeraźliwych. Struchlałe Stymfalidy porwały się i pociągnęły bladem zarzewiem niebios. Ich skrzydła żelazne grzmią w górze. Miedziane dzioby prują dal pobladłą. Łuk bohatera rzeź im zadał srogą. Nieliczne pierzchły nazawsze z Arkadji.

G. BAUMFELD.

# Na tle zamętu.

Dawniej umieliście *milczeć*... Gdy nie było wam wolno powiedzieć wszystkiego, woleliście nie mówić tego, co wolno, i nie mówiliście nic... Potem nauczyliście się mówić niektóre z tych rzeczy, które były dozwolone... Wytworzyliście prawdziwą umiejętność mówienia o rzeczach dozwolonych tak, żeby domyślać się można, co chcecie powiedzieć o rzeczach niedozwolonych. W tem była jeszcze utajona świętość milczenia... Ale teraz, o, teraz zerwaliście siedem pieczęci! Mówicie, mówicie! Mówicie i o tem, co wolno, i o tem, co nie dozwolono! Albowiem i o jednem i o drugiem mówicie — w sposób dozwolony!

***

Grają mi w piersi wszystkie dzwony, kiedy pomyślę o pewnych rzeczach, że się o nich mówi, że są możliwe i może blizkie. Wyszukuję sam wszystkie ujemne strony, żeby mi zarzuty zbijano i żebyśmy w ten sposób wzajemnie utwierdzali w sobie wiarę. I rozumiem moich biednych małych braci, dla których te rzeczy są jeszcze niemożliwe i dalekie. Wiem także, nakoniec, że, kiedy i dla nich staną się wyraźne i przed nimi zaświecą, i w ich piersiach zagrają wtedy wszystkie dzwony.

***

Rozprawiacie o sprawach narodu, jak faryzeusze o «tref» i «koszer»: która krew jest czysta, a która nieczysta... A zapominacie o tem, że każda krew, przelewana czy sączona, rabowana czy kradziona, ta czy tamta, jest zawsze — krwią.

***

Belgowie... tak, Belgowie wiedzą o tem, że nawet tak dobrzy administratorzy, jak Niemcy, nie zdołają zarządzać ich krajem tak dobrze, jak oni sami; bo któż lepiej potrafi zarządzać krajem, niż ci, którzy go najwięcej kochają, jego odwieczni mieszkańcy? I to jest najprostsza i najsilniejsza zasada samodzielności Belgów.

***

Jeżeli nie przestaliśmy być narodem, musi być jakaś wspólna nam wszystkim idea.

***

Czy to jest więc ta wojna, która huraganem wstrząśnie ziemię polską, szarpnie nią, . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . i spadnie z niej w tem straszliwem miotaniu wszystko, co podłe i haniebne . . . . . . . . . . . . . . . . .

***

W dreszczach mgieł jesiennych, w szarudze dżdżów i w dojmujących chłodach liści z drzew spadłych — stygła gdzieś i ziębła egzaltacja wielkiej chwili, mroziła się i kurczyła wizja, bez której niemasz wielkich rzeczy w duszy i w losach dziejowych. Odlatywała już od nas—rzecz, która już była nam bliska, i jakobyśmy nie mieli już sił rąk ku niej odchodzącej wyciągnąć i za nią zawołać... Głuchło nam słowo na ustach, jakbyśmy bali się wyrzec, czego tak bardzo boi się dusza nasza... I chowaliśmy nie szept już, ale milczenie, jak ludzie głęboko chorzy, a jeszcze żyć chcący ostatkiem... Wyrzuceni jakoby na wyspę bezludną i bezroślinną, na której głód nam grozi niechybnem wymarciem, milczeliśmy nieufnie, ażeby brat bratu nie rzekł przedwcześnie, co samo w nas uderzyć musi... Baliśmy się i byliśmy bezsilni... Więc tylko nam czekać zostało...

A w najgłębszym zakątku duszy tuliła się nadzieja: A może zabrzmi nagle ogromnie — i chociaż gromem w nas uderzy, gromem nas wybawi?!... Czekaliśmy w szarudze mgieł i dżdżów jesiennych, w drżącej wilgoci chłodu... zziębnięci i sami.

* * *

Za kilka miesięcy będzie wiosna... Ptaki odezwą się nagle i z ogromnym gwarem; rozbudzą się drzewa i otrząsną z wielkim łoskotem; słońce rozzłoci się całe i powlecze wszystko cieniutką warstwą światłości... od pól, od lasów, od nieskończoności, niewiadomo już skąd iść będzie nadziejne tchnienie, ciepłe i powiewne, i łzy wyciskać z pod serca... Za kilka miesięcy będzie wiosna. Wojna zacznie rodzić.

Ale jak?!... Jak będzie rodziła?... Czy tak, jak nasza ziemia, wypalona gorączką kopyt, stłuczona gniewnem armat stąpaniem, wydęta żołnierskich trupów warstwą, nasza ziemia, powłoka wielkiego mogilska, w którem wojna płytko skryła krwawy wstyd i straszne piękno swego mordu?... Śpiący pod ziemią naszą przyjaciele i nieprzyjaciele, straszliwe ziarna! Jaka przemiana dokonała się w was tam, pod ziemią — jaka święta czy nieświęta—i czy już pomieszaliście się tam z trupami naszych dawnych i wielkich?... czy też leżeli za głęboko — — i może — za dawno?...

WŁADYSŁAW BUKOWIŃSKI.

# Wrażenia teatralne.

Henryk Bernstein: *„Napaść“* („L'assaut“), sztuka w trzech aktach (przekład G. Olechowskiego). Arnold Bennet i Edward Knoblauch: *„Trzy pokolenia“*, sztuka w trzech aktach (przekład Fl. Sobieniowskiego). Józef Korzeniowski: *„Majster i czeladnik“*, komedja w dwóch aktach, *„Okrężne“*, komedja w dwóch aktach. Tristan Bernard i Alfred Athis: *„Dwie kaczki“* („Les deux canards“), krotochwila w trzech aktach (przekład Z. K.). Wystawione w Teatrze Polskim pod dyrekcją dr. fil. Arnolda Szyfmana. Reżyserował Kazimierz Wroczyński.

Repertuar w okresie wojennym, repertuar w czasie burzy dziejowej, jakiej nie widziały wieki, repertuar w dobie, kiedy nikt poważniej o sztuce myśleć nie jest zdolny, kiedy dokoła „wali się posągowy piękna świat“, może nie — „oplwany pogardą ciżb, dla których każdy kwiat jest zielskiem, a laur wydaje plon żołędzi pożądany“, ale — zabijany codziennie obojętnością tłumów, nad których głowami szaleje nawałnica dziejowa; repertuar teatralny w takim wyjątkowym momencie mógłby być zajmującym, mógłby nawet wpływ donioślejszy wywierać, pod warunkiem—po pierwsze, że byłby to repertuar, nie krępowany na każdym kroku względami ubocznymi, nie mającymi nic wspólnego ze sztuką, a po drugie, że byłby to repertuar teatru zasobnego, mającego sposoby i środki przetrzymania okresu — zupełnie naturalnego zobojętnienia szerszych warstw dla spraw literatury i sztuki.

Ale dzisiaj teatry nasze, zarówno rządowe, jak prywatne, pozostają pod kuratelą bardzo ścisłą, a szeroka publiczność, oślepiona dymem pożarów i kurzem krwi bratniej, zagrożona w podstawach bytu, ma troski o wiele ważniejsze i głębsze od podtrzymywanej do niedawna i pielęgnowanej z zapałem godnym lepszej sprawy przez całą prawie warszawską prasę codzienną, głównej, zdawało się, troski narodu polskiego—o pomyślny rozwój teatru. Więc chociaż i dzisiaj niektóre kurjerki usiłują, jak za dawnych dobrych czasów,ześrodkować głównie uwagę publiczności naszej na śpiewie, tańcu, kostjumach i brylantach panny Messalówny, nie udaje się im to już, w tym przynajmniej stopniu, co dawniej, i teatry, zwłaszcza teatry prywatne mniej zasobne w środki pieniężne i obciążon haraczem na rzecz teatrów rządowych, wieś muszą z konieczności żywot tymczasowy, anemiczny, łatając budżet, czem się da, byle wytrwać na stanowisku i utrzymać w jakiej takiej całości przerzedzone przez wojnę kadry. Teatr prywatny, o ile nie udało mu się natrafić przypadkiem na jakąś złotą żyłę, w rodzaju „Warszawki i Krakusika“, może dziś wegietować tylko, w czem zresztą nie trzeba dopatrywać się jakiegoś narodowego nieszczęścia, bo ostatecznie—„nie czas żałować róż, gdy płoną lasy...“

Teatr Polski, pomimo czasowej utraty z powodu wojny części swych sił wybitnych i części swych bywalców stałych, znosi obecny swój los ciężki dosyć pogodnie. Pozyskawszy w osobie p. Kazimierza Wroczyńskiego zdolnego i pomysłowego reżysera, stworzył sobie na chwilę obecną repertuar eklektyczny i bądź uderza w struny aktualne (w „Alzacji“), bądź próbuje sensacji psychologiczno-politycznej, przeszczepionej z gruntu obcego („Napaść“), bądź nawet porusza głębsze zagadnienia wiecznie nowej i wiecznie tej samej duszy ludzkiej („Trzy pokolenia“), bądź wreszcie usiłuje działać kojąco na rozigrane nerwy współczesne, odgrzebując miłe obrazki rodzajowe repertuaru dawnego („Majster i Czeladnik“, „Okrężne“) lub wystawiając rzeczy bezpretensjonalne, a pełne sytuacji komicznych, pobudzających nawet hypochondryków zdecydowanych do śmiechu, jaki rozbrzmiewa np. na widowni przez całe trzy akty przedostatniej nowości repertuaru, oryginalnej w pomyśle i doskonałej w wykonaniu krotochwili francuskiej „Dwie kaczki“.

Nad treścią tych sztuk, z wyjątkiem „Trzech pokoleń“ Benneta i Knoblaucha, nie warto — dzisiaj zwłaszcza—zatrzymywać się dłużej. Dwie trącące już myszką, ale miłe komedje Korzeniowskiego znamy oddawna; zaznaczono już zresztą w *Prawdzie*, że zasługiwały najzupełniej na przypomnienie. Nad zagadnieniem psychologicznem“ doskonale zrobionej „Napaści“ Bernsteina, illustrującej zakulisowe sprawy parlamentaryzmu francuskiego z tak niedawnej, a tak już dzisiaj dalekiej epoki, oddzielonej od chwili obecnej sześcioma długiemi, jak wieki, miesiącami wojny, możemy równie dobrze przejść do porządku dziennego, jak nad treścią „Dwóch kaczek“ Bernarda i Athisa, gdzie zdolny a wyzwolony ze skrupułów wszelkich francuski dzien-

nikarz prowincjonalny, lawirując długo zręcznie dosyć między dwoma zwalczającemi się stronnictwami, oraz dwoma wrogimi dziennikami, które redaguje jednocześnie pod dwoma, oczywiście, nazwiskami, za sprawą dwóch interesujących go jednocześnie (każda w innym rodzaju) kobiet, dochodzi do tragicznego momentu, w którym musi do pojedynku stanąć oko w oko... sam z sobą.

Ze sztuk, wystawionych w miesiącach ostatnich w Teatrze Polskim, wartość głębszą posiadają niewątpliwie „Trzy pokolenia". Subtelny ten utwór dwóch autorów angielskich, przetłomaczony bardzo starannie przez p. Florjana Sobieniowskiego, pomimo rozwlekłości pewnej w djalogach, rozwija się bardzo ciekawie, odtwarzając w trzech odmalowanych stylowo epokach odwieczne zagadnienie walki młodych ze starymi i walki uczucia z wyrachowaniem bezdusznem. Nietylko u nas, widocznie, ludzie pogodzić się nie umieją i nie chcą z pewnikiem znanym, ujętym w mistrzowskie strofy Asnyka, że: „z żywymi trzeba naprzód iść, po życie sięgać nowe, a nie w uwiędłych laurów liść z uporem stroić głowę..."

Są w tej trzyaktowej sztuce, a właściwie w trzech jednoaktowych utworach, związanych pewną analogją położeń i wspólnością kilku postaci, występujących kolejno: w wieku młodzieńczym, dojrzałym i w dobie sędziwej starości, spostrzeżenia bardzo głębokie, są i sceny, pełne poezji, że przypomnę choćby prześliczne zakończenie sztuki ostatniej. A przytem oryginalny ten utwór Benneta i Knoblaucha daje świetne pole do popisu artystom, pole wyzyskane doskonale przez dobrze zgrane, bardzo inteligientne i sumienne, a przytem utalentowane prawdziwie siły akrorskie Teatru Polskiego, ze Stefanem Jaraczem, Wojciechem Brydzińskim, Marją Dulębianką, Izą Kozłowską i Seweryną Broniszówną na czele.

Teatr Polski przed wojną miał, zwłaszcza w personelu męskim, pewien nadmiar solistów, którym tam było poprostu za ciasno. W obecnym swym składzie artyści pierwszorzędni grywają częściej, uwydatniając lepiej i wszechstronniej rodzaj i miarę swych talentów, co nie przeszkadza nam zresztą żałować szczerze takich nieobecnych, jak Jerzy Leszczyński, J. Węgrzyn, Zelwerowicz i inni.

Wielki talent Jaracza mieliśmy np. sposobność podziwiać kolejno (poza trzema świetnemi kreacjami w „Trzech pokoleniach") w „Napaści" Bernsteina (Antoni Frepeau), w „Majstrze i czeladniku" Korzeniowtkiego (Szarucki) i wreszcie w wystawionej ostatnio krotochwili (Bejun). Jest to skala talentu bardzo rozległa, obejmująca odcienie wszystkie, od farsy do tragiedji. Talent nawskroś realistyczny, chwytający życie na gorącym uczynku, a przytem pełen pomysłowości. Talent wogóle pierwszorzędny, siła dla teatru niezastąpiona.

Realizm z tchnieniem głębokiego uczucia i poezji podkreślałem już nieraz w grze Brydzińskiego. Opuścił on scenę rządową i zajął odrazu w Teatrze Polskim jedno z miejsc najwybitniejszych. Tu przynajmniej gra częściej, porywając widzów szczerością i prawdą, wzruszając akcentami subtelnego liryzmu i płomiennego, a nie szukającego tanich efektów zapału. Jako Aleksander Merital w „Napaści", jako Artur Preece w „Trzech pokoleniach", dosięgnął on — nieobcych mu zresztą oddawna — wyżyn artyzmu prawdziwego.

I Dulębianka w „Trzech Pokoleniach", gdzie występuje kolejno, jako młodziutka dziewczyna, jako rozgoryczona do życia, a jednak usiłująca obronić innych przed zawodem, stara panna-ciotka, i wreszcie jako szlachetna i dobra aż do końca staruszeczka, stająca zawsze w obronie gorących porywów młodości, potwierdziła wymownie najpochlebniejsze o swym talencie sądy. Rozległość i skala tego talentu uwydatniły się również w doskonałej jej roli, Tekli Kalinieckiej w „Okrężnem", a chociaż w „Dwóch kaczkach" trochę już za bardzo szarżuje i śmiechu opanować nie może wobec różnych „kawałów" Jaracza i Lenczewskiego, nie możemy mieć o to do niej zbyt dużej pretensji, bo to przecież krotochwila tylko przezabawnia a śmiech, choćby niezupełnie w danej scenie właściwy, jest dzisiaj—klejnotem rzadkim.

Nie mogę zatrzymywać się już obszerniej nad grą poszczególnych artystów, przypomnę więc jeszcze tylko doskonałe role: Laury Duninówny (Rena de Rould) w „Napaści", Izy Kozłowskiej i Seweryny Broniszówny w „Trzech pokoleniach", Józefa Sosnowskiego (szambelan Dalszycki) w „Okrężnem", Władysława Lenczewskiego w „Okrężnem" i świeżo w „Dwóch kaczkach" (wychodzący zwycięsko z kłopotów wszystkich Lucjan Gelidon), Janiny Janiczówny (Basia w „Majstrze i czeladniku", Magdalena w „Dwóch kaczkach", a zwłaszcza Matylda Pym, nowoczesna samodzielna panna w „Trzech pokoleniach"); wymienię jeszcze sumiennego zawsze, z zamiłowaniem i talentem służącego teatrowi nawet w mniejszych rolach Stanisława Jarnińskiego (Mortko w „Majstrze i czeladniku", Ned Pym i lord Monkhurst w „Trzech pokoleniach", Flache w „Dwóch kaczkach"), wymienię Górską, Tatarkiewiczównę (dobra Klara w „Okrężnem"), Zielińskiego, Dybizbańskiego, przypomnę wreszcie nie występującą przez czas dłuższy Przybyłkównę i, listy tej już przedłużać nie chcąc, stwierdzę raz jeszcze, że mimo obecnego uszczuplenia kadrów personelu, teatrowi Polskiemu sił artystycznych nie brak. Miejmy nadzieję zresztą, że uszczuplenie to jest tylko chwilowe i że „nieobecni" znajdą się znowu na stanowiskach swoich, gdy tylko okoliczności pozwolą...

Daje ten teatr przytem stale bardzo staranną, czasem na obecne czasy aż za kosztowną wystawę, ma reżysera dobrego, ma wogóle dyrekcję zapobiegliwą i dbałą. Życzyłbym mu tylko szczerze, aby poparcie publiczności pozwoliło mu—nawet podczas wojny — nie obniżać dawnego, poważnego i artystycznego prawdziwie repertuaru.

Nie obniżajcie gustów publiczności farsami, nie stosujcie się do upodobań, które szybują zbyt nisko. Podnoście je raczej wytrwale, podnoście wciąż z zapałem na wyżyny istotnego Piękna, bo tylko ono w Sztuce może naprawdę królować...

# Przegląd prasy.

* Im dłużej wojna się przeciąga, tym bardziej wojowniczy staje się pan Mieńszykow. Jeszcze w noworocznym numerze swego organu wyrażał on życzenie, aby Rosja: „chociaż tym razem potrafiła przezwyciężyć wstręt wrodzony do podbojów i potrafiła wywalczyć dla siebie przyrodzone granice". Już wtedy marzył o takiej sile, aby można było osiągnąć „potęgę autorytetu, którego życzenie staje się prawem — Roma locuta, causa finita". Pocieszał jednak jeszcze swych czytelników tym, że wszystko to ma na celu powszechny pokój i możność używania na cele produkcyjne pieniędzy państwowych, zamiast rzucania ich w paszczę Molochowi militaryzmu. Dowodził również, że Rosja zajmowała kraje sąsiednie jedynie i wyłącznie dla tępienia w nich anarchji i dla ich własnego dobra.

Obecnie p. Mieńszykow staje się coraz bardziej zaborczy. „Na początku wojny — pisze, — dzięki mej słowiańskiej dobroduszności, razem z ogromną większością Rosjan, nie uczuwałem żadnej nienawiści do Niemiec. Nie tylko przed tą wojną, ale nawet po jej ogłoszeniu, nie mogłem osobiście przypuścić, choćby czysto teoretycznie, że moglibyśmy zdobyć Niemcy i podzielić się nimi z sojusznikami. Fizycznie jest to rzecz zupełnie możliwa, ale trudno jest pogodzić się z tym, że wojna jest zjawiskiem czysto fizycznym, bez żadnych granic moralnych".

Powodem do zmiany owych zapatrywań było dla p. M. odkrycie, że Anglja dąży nie do zwycięztwa nad militaryzmem pruskim i do zawarcia pokoju trwałego, ale do zniweczenia zupełnego Niemiec. To napełniło p. Mieńszykowa niepokojem. A cóż będzie jeżeli on się myli w swej słowiańskiej dobroduszności? Przecież wiadomo, że Anglicy to pierwszy naród na świecie. A cóż będzie, jeżeli naprawdę należy myśleć nie o jakiejś tam zasadzie narodowościowej, ale naprawdę o zniszczeniu Niemiec zupełnem? „W stosunku do narodów uczciwych — pisze dalej — rękaby drgnęła przy pisaniu tych słów, ale obecnie — czy możliwy i czy potrzebny jest pokój?"

Wobec tego autor zastanawia się przedewszystkim nad wykonalnością podboju i dochodzi do wniosku, że jest on absolutnie wykonalny. „Czy nie zostały podbite wszystkie państwa Czerwonego Lądu z prawie zupełnym wytępieniem tubylców?"

Musimy, nawiasem mówiąc, ukoić trochę czułe serce p. M. Pomimo wszystko, indjanie amerykańscy stanowią jeszcze obecnie w Centralnej i Południowej Ameryce przeszło połowę ogółu ludności. Ale to mniejsza, idźmy dalej za krewkim publicystą.

„Czyż tak dawno, przypomnijcie sobie, miał miejsce rozbiór Polski, która jeszcze za Zygmunta III grała rolę wielkiego mocarstwa? Czyż Niemcy same nie były podbite przez Napoleona?

„Tak dużo pisałem już o poszanowaniu niezależności narodowej wszystkich świadomych narodów i tak szczerze uznaję za grzech i za błąd zagarnianie cudzej własności, że nie mogę być podejrzewany o propagowanie idei podbojów. Ale zdrowy rozsądek nakazuje przyznać, że podboje bywają, po pierwsze, możliwe, po drugie zaś, czasami niezbędne. Nie wiem np. dlaczego niemożliwą rzeczą ma być podbicie 9 miljonów madziarów, a możliwą—300 miljonów hindusów".

Zabezpieczywszy się zatym od wyrzutów sumienia z jednej strony, a zarzutów co do wykonalności podboju z drugiej, p. M. zastanawia się już nad tym, jak utrzymać kraje podbite. „Narody podbite, bezbronne, słabe tylko mogą pokładać nadzieje w powstaniach, jak o tym świadczy historja podobnych powstań w różnych krajach. Jeszcze żyje w pamięci straszne powstanie w Chinach, Indjach, Turcji i u nas w Polsce. Raz uskuteczniony podbój trwa zwykle przez całe stulecia, a czasem narody podbite tracą swój język i zlewają się ze zwycięzcami".

* P. Milukow ma ogromne kłopoty z prasą armeńską. Okazuje się, że Ormianie byli naiwni do tego stopnia, że posądzali p. Milukowa o to, że gotów jest poświęcić na ołtarzu ludzkości interesy państwowe Rosji dla ideału niezależności Armenji. Gazeta *Arew* pisze mianowicie: „P. Milukow powinien mieć dosyć cywilnej odwagi na to, aby zapomnieć o interesach wielkiego mocarstwa i stać się wyrazicielem ideałów małego, ale dążącego do wolności i bohaterskiego narodu. I gdyby nastąpiło starcie dwóch interesów — woli zdobywcy i dążenia do samodzielności, obowiązkiem publicysty, dążącego do wolności, powinno być przełożenie drugiego nad pierwszy".

P. Milukow szczerze przyznaje się, że nie posiada bynajmniej wymaganej od niego cnoty obywatelskiej. Tłumaczy on Ormianom, że wprawdzie stał on niegdyś na tym punkcie widzenia, że Armenja winna zostać autonomiczną prowincją pod protektoratem Turcji, ale obecnie nie może już się na to zgodzić. Napróżno Ormianie dają mu niedwuznacznie do zrozumienia, że i teraz jeszcze woleliby autonomję pod zwierzchnictwem Turcji, a to dla tego, że tą drogą mogą osiągnąć to, co osiągnęły Rumunja, Bułgarja i Serbja, podczas gdy inne rozwiązanie sprawy połączone jest z pogrzebaniem raz na zawsze marzeń o niezależności. Napróżno powołuje się na silne jeszcze jakoby tradycje państwowe Armenji. Nawet projekt utworzenia z Armenji państwa-buforu dla obrony Rosji... przed Turcją nie znajdują łaskawego przyjęcia przez p. Milukowa. Odpowiada on nawet, że przykład Rumunji w chwili obecnej tymbardziej utwierdza go w przekonaniu, że niezależność Armenji nie da się pogodzić z interesami Rosji. Stara się on przekonać w dodatku prasę ormiańską, że ponieważ Aleksandreta jest Rosji potrzebna nieodbicie, więc niema o czym mówić. W tym miejscu mógłby p. Milukow z powodzeniem zacytować ustępy z p. Mieńszykowa, który mówi: „Jest bardzo możliwą rzeczą, że ratując Ruś Czerwoną, Polskę i Armenję, trzeba będzie nie robić sobie wielkich ceremonji z krzywiznami granic etnograficznych, a w polityce, jak w życiu prywatnym, przymusowe wywłaszczenie dopuszczalne jest w imię wyższych interesów państwowych".

* Jak dziwnie jednak odbija ton ten od tonu poważnych pism europejskich. Miesięcznik naukowy *Scientia*, wychodzący w Bolonji w 4 językach europejskich, rozpoczął obecnie ankietę w sprawie wojny pomiędzy uczonymi różnych

narodowości. Między innymi ciekawa jest odpowiedź p. Ashleya, wybitnego ekonomisty angielskiego. Widać z niej, że, pomimo wszystko, uczony ten nie dał się porwać hypnozie mas i zdaje sobie dokładnie sprawę z tego, że 70-miljonowy naród wytępić się nie da. Ciekawym jest ustęp, tyczący się kolonji niemieckich. Okazuje się, że, zdaniem Ashley'a, nawet kolonji Niemcy nie powinny utracić, a to dlatego, aby nie obrażać zbytnio ich dumy narodowej. Jedynie te kolonje, które odebrane zostały Niemcom przez Japonję, albo przez Dominja, muszą już pozostać w rękach zdobywców, bo trudno żądać, aby Anglja wypowiadała wojnę Australji lub Nowej Zelandji o wyspy na Pacyfiku. Zresztą oddawna już prasa angielska pisze o tym, że wojna ta nie powinna doprowadzić do tworzenia nowych Alzacji, będących zarzewiem wojen na przyszłość. Dlatego też można pocieszyć p. Mieńszykowa i publicystów równie wojowniczo usposobionych, że w razie zupełnego pogromu Niemiec, można oczekiwać upadku Prus, przeniesienia punktu ciężkości z Berlina do Monachjum np., ale nie tego, o czym śni się panu Mieńszykowowi.

* Artykuł Ashley'a zawiera również ciekawe dane, tyczące się ekonomicznej strony wojny obecnej. Stwierdza on przedewszystkim, że $^{-}/_{9}$ produkcji przemysłu angielskiego zostaje spożyte wewnątrz kraju, tak, że utrata rynku w Niemczech, Austrji i Belgji równa się zatamowaniu produkcji angielskiej zaledwie w $^{1}/_{9}$ części.

Najciekawsze jednak są dane, tyczące się wpływu wojny na wewnętrzne stosunki ekonomiczne Anglji. „Pod presją konieczności — pisze autor — rząd, przy całkowitym poparciu ze strony narodu, porzucił odrazu tradycyjną politykę bezczynności w dziedzinie stosunków ekonomicznych. Budząc się co rano, zastajemy kredyt państwowy wciągnięty w nową jakąś gałąź handlu; zakaz handlu jakimiś produktami; przedsięwzięte zakupy przedmiotów pierwszej potrzeby, jak np. cukru; nowe zakłady przemysłowe powstające przy poparciu ze strony państwa, przyczym dochody akcjonarjuszy są gwarantowane, jak to miało miejsce w stosunku do farbiarstwa".

Jeżeli wojna doprowadziła do tych rezultatów Anglję, to cóż dopiero mówić o Niemczech, które niezależnie od militarnego wyniku wojny, będą musiały przejść przez głęboki kryzys ekonomiczny. Rozszerzenie sfery wpływu państwa w dziedzinie przemysłu będzie dla Niemiec nieodpartą koniecznością. Tylko planowa akcja rządowa będzie mogła uratować przemysł niemiecki od zupełnego upadku. Jak Nowa Zelandja weszła na drogę daleko idących reform społecznych wskutek trudności natury finansowej, tak samo Europa po wojnie będzie zmuszona do obrania tej samej drogi. Będzie to bodaj czy nie najważniejszym wynikiem wojny obecnej.

---

Prenumerata PRAWDY wraz z bezpłatnym dodatkiem w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odn. do domu. Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10. Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Redaktor przyjmuje interesantów w poniedziałki, wtorki i soboty od 5-ej do 6-ej. Rękopisów nie odsyła się.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 7 pp.

Ogłoszenia po kop. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy (strona zawiera 4 szpalty).

---

Prenumeratorzy PRAWDY, którzy wniosą z góry opłatę za I-sze półrocze, otrzymają cenne premjum w postaci mapy etnograficznej ziem polskich według powiatów. Mapa mieć będzie rozmiary dużej mapy ściennej.



Redaktor i Wydawca: Wincenty Rzymowski. Sekretarz Redakcji: Stefan Piekarski.
L. Bogusławskiego, S-tokrzyska 11. Дозволено Военною Цензурою, Варшава, 1 Февраля 1915 г.